

mapa, a rzewne łzy zraszają to miejsce, w którym spoczywa ich żywiciel!...”

W głębokości kilku tysięcy metrów, wśród niczem nie zamąconej ciszy i wiecznej ciemności, leży ofiara krwiożerczej walki. Brak kwiatów i krzewów na grobie, któreby pielegnowały wdowa i sieroty, zastępują barwne wodorosty i prześliczne korale, a cudowne perły, niby lampki na Dzień Zaduszny, oświecają grób marynarza...

Oto mniej-więcej prawdopodobny obraz bitwy morskiej.

Wiesci, nadchodzące w ostatnich czasach z Japonii, wciąż wspominają o szpitalu morskim w Sasheo. Po strasznej bitwie w cieśninie Koreańskiej, w szpitalu tym znalazły się setki rannych Rosjan i Japończyków; znalazł się tam także admirał Roźdiestwieński. Nic też dziwnego, że do szpitala tego ciągną szeregi korespondentów rozmaitych narodowości. Sasheo stało się dziś miejscowością, najliczniej zwiedzana, a nazwa jej rozbrzmiewa wszędzie, zarówno w Japonii, jak i w Europie.

Sasheo znajduje się na wybrzeżu wyspy Kiuszju, najbardziej wysuniętej z większych wysp japońskich. Klimat tam jest nadzwyczaj łagodny, zbliżony raczej do ciepłego, aniżeli do naszego umiarkowanego. Okolice Sasheo są dla Japonii tem, czem Riviera z Nizzą i San Remo dla Europy. I jak w Europie, w sąsiedztwie Rivieri, znalazły się dwa ważne porty wojenne: Tulon i Genua, tak samo w Japonii Sasheo stanowi jeden z najgłówniejszych punktów marynarki wojennej.

Szpital morski, znajdujący się w niewielkiej odległości od portu, jak wszystkie szpitale japońskie, odznacza się tem, że twórcy jego uwzględniali nie wygląd zewnętrzny, ale wygodę rozmieszczeń i urządzeń wewnętrznych. Znajduje się tam dziesięć pawilonów szpitalnych, wszystkie z drzewa, obszerne, wygodne, pomalowane na szaro, pokryte dachówkami również szaremi, z cementu wyrobionemi. Podłogi wszędzie ułożono z masy drzewnej (ksylolitu), jako tanie, trwałe, łatwe do utrzymania czystości, a właśnie czystość, o jakiej my, Europejczycy, zaledwie słabe mamy pojęcie, jest główną cechą szpitalów japońskich.

W każdym z pawilonów w Sasheo stało przed bitwą pod Cuszimą po 60 łóżek. Skutkiem wielkiego napływu rannych liczbę tę powiększono, a prócz tego wzniesiono kilka baraków tymczasowych, przeważnie płóciennych, dla łżej rannych. Pobyt w takim baraku, wobec nadzwyczaj łagodnego w tej porze klimatu na Kiuszju, jest bardzo przyjemny.

W jednym z pawilonów znajduje się sala operacyjna, siedem metrów szeroka, dziesięć metrów długa, a cztery wysoka. W samym środku sali znajduje się olbrzymia „latarnia” — wzniesienie o trzy metry nad sufitem, pokryte szklanym dachem. Latarnia ta dostarcza sali w ciągu dnia mnóstwo światła. W nocy szpital oświetlony jest rzęsiście elektrycznością. Oszczędna budowa tej sali przedstawia tę korzyść, że tańszym kosztem może być przerobiona i zastawiana do dalszych postępów chirurgii. Wydawanie wielkich sum pieniędzy na budowę marmurowych salonów w szpitalach Japończycy uważają za bezrozumne marnotrawstwo.

Szpital w Sasheo należy do najlepiej urządzonych, chociaż wśród personelu lekarskiego znajdują się w nim przeważnie siły drugorzędne. Ale pod względem czystości, sumiennosci i dokładności obsługi szpitalnej, Sasheo nie daje się wyprzedzić innym szpitalom japońskim.

BRONIKA LWOWSKA.

Nie ma węzów morskich. — Zajmujemy się dziećmi. — Popisy, popisy, popisy. — Sprawozdania i ich skutek. — Familia. — Przyszłe gwiazdy. — Dramaty. — Przeludnienie Lwowa, a rakaż miejski. — Pustki na ulicach. — Pani, pincz, rakaż i wypadek. — Inna dama z pieskiem. — Pan porucznik z monokiem. — Czy ten pies do sprzedania. — Cudowny sposób. — Zwrot i zmiana ról. — Wyjaśnienie. — Zaciemnienie. — Fortel się udał, ale skutku nie ma. — Rzecz krąży. — Abituryenci kelnerami. — Czy chęć pracy? — Wybór prezydenta. — Umowy i targi. — Dobra posada do sprzedania. — Licytacja. — Szał festynowy. — Bez loteryi fantowej. — Co można powiedzieć o wyścigach? — Artyści wrócili zdrowi.

Pomimo, że sezon ogórkowy, o którym się tyle mówi i pisze, rozpoczął się na dobre, żaden z dzienników lwowskich nie wyłowił dotąd ani jednego węza morskiego, co jako wielce znamienity objaw zanotować należy.

To zaniedbanie obowiązków dziennikarskich ma swoje powody. Dzienniki zajmują się teraz dziećmi. Naprzód idą wszystkie wyniki egzaminów dojrza-

łości we wszystkich galicyjskich szkołach średnich, potem sprawozdania z egzaminów w szkołach prywatnych, a wreszcie „popisy“.

Popisuje się teraz cała lwowska młodzież w wieku od 3—25 roku życia w kilkuset szkołach, zakładach, liceach, ochronkach, przytułkach, domach, konserwatoriach, freblówkach itp. a dzienniki, a raczej ich sprawozdawcy z zatrważającą sumiennością omawiają szczegółowo produkcje dorastających gwiazd, z czego ciotki, mamy, babcie, kuzynki i stryjenki, ciesząc się do łez, czytając owe „recenzje“, wycinając je i oprawiając w ramki z oślej skórki na wieczną pamiątkę, że „to aż w gazetach stało“, jak to nasza Fuńcia z brawurą odegrała na cytryse fugę Bacha, a Niuśka na basie wyrępała jakiegoś marsza, a Tyńcia z nadzwyczajnem uczuciem zaśpiewała arję z tej tam Halki, a Fruzio przez całe trzy kwadranse wytrzymał, bębniąc na fortepianie koncert Chopina, a już Luńcia to doprawdy wyrosła kiedyś, a może już za jaki rok, na drugą Schuppównę, lub przynajmniej na Kruszelnicę, bo kiedy zaśpiewała trzy pieśni Galla, a jedna Niewiadomskiego, to cała publiczność, (tj. familia i sąsiedzi) tak mocno klaskała i wywoływała, że pani Zrzedalska dostała chryпки, pani Wiercipięcka zgubiła kolczyk z prawdziwym brylantem, a panna Joasia nawet zemdląła z zachwyty, czy może z zazdrości, a jakże, i trzeba ją było wyprowadzić ze sali na kurytarz, gdzie ją potem stróż długo, długo oblewał zimną wodą.

Lecz to są już prawie gwiazdy. My jednak mamy gwiazdeczki kilkoletnie, które „czarująco“ deklamują „Powrót taty“ i „z precyzją“ grają... dramatyz, że niech się schowa Pawlikowski z całą budą teatralną.

Tu dopiero zachwyt recenzentów dochodzi do zenitu, bo nie zapominają nawet pisać o charakterystyce „utalentowanych“ amatorów. Jednym słowem możemy być spokojni o przyszłość naszej sztuki, bo podrastające pokolenie już dziś odbiera zasłużone oklaski i — recenzje.

Mniej pocieszającym objawem jest, że rakaż miejski uważa Lwów za przeludniony i, ażeby temu przeludnieniu zaradzić, wyłapuje co niepotrzebniejszych ludzi na ulicy. Nie pomogło, że wielu mieszkańców wyjechało na wilegiaturę, nie pomogło i to, że wszystko kryje się przed upałem i nie wychyla nosa z domu, nie pomagają wreszcie „ujadania“ dzienników na rakaż i na tę hycłowską praktykę — rakaż łapie ludzi, a magistrat na to patrzy i pęka ze śmiechu.

Ten niekonstytucyjny środek wyludniania miasta ma swój powód w tem, że magistrat na wieść o pojawieniu się wściekłego psa pozwolił rakażowi czynić wszystko, co mu się podobać będzie, byle znikła wścieklizna. A że rakażowi i niektórzy ludzie, (może nawet słusznie) wydają się wścieklymi, więc można sobie wyobrazić nasze położenie. Stąd pustki na ulicach. Zwłaszcza panie są metą, (niezły ma gust) dla rakaża miejskiego. W ubiegłym tygodniu jedną złapał. Tłumaczył się, że chciał złapać jej faworyta pincza, ale że go właścicielka zaślaniała, więc nie wina w tem rakaża, że sznurek objął nóżkę pani powyżej trzewiczka. Złapała pani próbowała nawet zemdleć, byleby uratować pinczusia, ale nie udało się. Pincz w klatce. Ona wolna.

To już o wiele lepiej udało się innej pani. Nazywa się — powiedzmy — Julia. Była w niedzielę rano w parku Kilińskiego. Bardzo wykształcona, a mimo to piękna... Błądziła po ścieżkach w pełnym słońcu i marzyła... Obok niej ładny chart czystej krwi. Wreszcie siada w cieniu. Gorąco dochodzi do 30 stopni, młoda krew strzela w cudną twarzyczkę, nawet kropelki potu „całują“ białe czoło, jakby powiedziała jedna ze znanych autorek. Przypadek (zawsze on!) zrzucił, że szedł właśnie tą ścieżką nie młody już, ale urodziwy mężczyzna.

Nie nazywał się wprawdzie Romeo, ale za to był porucznikiem. Oficerowie, jak wiadomo, mają szczęście. Są wogóle ludzie, którym Bozia nie szczędzi łask... Porucznikowi wpadła panna Julia od razu w monokl. Omal go nie stłukła. O zaczepkę oficerowi nie trudno, zwłaszcza, gdy jest przytem pies. Skłonił się tedy jak mógł najgrzeczniej i spytał, jak mógł najuprzejmiej, przedstawiając się, jak mógł najskromniej, czy ten chart jest do sprzedania. Panna Julia nie dała żadnej odpowiedzi. Pewnie nie słyszała, więc powtarza pan porucznik swoje pytanie. Piękna Julia spoglądnęła na p. porucznika i po małej pauzie wstała z ławki mówiąc:

— Idź pan do rakaża psy kupować.

I odeszła. Ale p. porucznik nie byłby chyba oficerem, gdyby dał za wygraną. Tak piękną sposobność zaniedbać! Poszedł za nią. Idą. Lecz w tem

staje się coś niezwykłego. Porucznik wraca, a chart za nim. Panna Julia zirytowana. Woła na Cezara (tak się pies nazywał). Pies ogląda się, lecz idzie dalej za porucznikiem. P. Julia staje, lecz pies wraz z porucznikiem coraz bardziej się oddalają. Co tu robić? Trzeba wracać, bo pies przepadnie, a ojciec panny Julii na śmierć by się zamartwił. „Cezar! Cezar!“ — woła panna J. przyspiesza kroku. Ba, ale kto wie, dokąd on ją prowadzi? A tu tak gorąco, tak rozpaczliwie gorąco. Gdyby choć usiadł. Ale on idzie, idzie, idzie... Ta psia logika była dla pani Julii zagadką nierozwiązalną. Choćby już dla samego rozwiązania tej zagadki, wartoby nawiązać z porucznikiem.

„Panie, panie poruczniku! — ozwał się cudowny głosik Julii.

— O, pani mnie woła? — wreszcie stanął w odaleniu 30 kroków. Panna Julia zbliżyła się nieśmiało...

— Muszę, bo mi pan psa zabrałeś...

— A czy to ja jestem rakażem? — spytał uśmiechając się porucznik.

— A więc tylko o ten dowcip chodziło? Lecz mniejsza o to, skoro się panu sztuczka udała, to pragnę wiedzieć w jaki sposób skaptował pan mego psa?...

— O, — z tem pójdzie trochę trudniej, to długa historia, pani pozwoli, usiądźmy tu na ławeczce, a opowiem pani wszystko. Pozwoliła — już siedzą.

I co się pokazało? ten porucznik to wcale nie porucznik, ale bardzo przyjemny cywil i wyższy urzędnik, który mieszka od trzech miesięcy naprzeciw mieszkania rodziców panny Julii. Podobała mu się, ale nie mógł zwrócić na siebie uwagi, więc umyślił ten fortel. Ubrał swój dawny mundur (był oficerem rezerwowym) bo zdawało mu się, że w tym charakterze prędzej wpadnie jej w oko. Szpiegował, dokąd idzie i poszedł za nią...

— Ale z psem, jak pan z psem urządził.

— Dobry szpieg o wszystkim pamięta.

Zauważyłem, że pies głodny, kupiłem po drodze wędzonkę, a gdy z nim pani z parku wyjść zamierzała, rzuciłem mu pierwszy ochłap. To go wzięło... na jedno moje skinienie wrócił... i... wygrałem, oto mam honor kłęcząc (tu ukląkł) i błagać o odpowiedź, czy fortel się udał?...

— Fortel się udał — wyszeptwała panna Julia, ale tylko z psem...

Porucznik zerwał się na nogi.

— Tak panie, bo ja jestem od trzech miesięcy zaręczona, a mój narzeczony jest we Wiedniu przy ministerjum skarbu... za sześć miesięcy ślub...

Pan porucznik wrócił do domu i bezzwłocznie wniósł prośbę o przeniesienie do Krakowa. Panna Julia nie omieszkała opowiedzieć o wszystkim rodzicom, a nawet sąsiadkom. Dziś rzecz krąży...

W jednej z tut. redakcyj zgłosili się dwaj abiturycenci ze świadectwami dojrzałości i oświadczyli gotowość objęcia funkcji kelnerów na „zwykłych warunkach“. Dlaczego nie zgłosili się wprost do jakiejś restauracji lub kawiarni. a poszli z tem do redakcji, to jest tajemnicą tej redakcji, pograżonej w upałach sezonu ogórkowego.

Sama jednak rzecz obudziła interes nawet u kelnerów. Całkiem po amerykańsku.

Chęć pracy i zarobku wetknęła młodym abiturientom do łapy — ręcznik. A jaki to piękny będzie ten zarobek... Za każde dwa centy — całuję rączki... anowanie... adam do nóg... Wyrzucanie pijanych gości, otwieranie korków, interwencja u damy bufetowej... całkiem stosowne zajęcie dla abiturientów. A kiedyś potem, gdy się z kelnera wyrobi płatniczy, to gościowi obliczy rachunek za czarną kawę za pomocą logarytmów.

Szkoda, że już tylko mało miejsca poświęcić mogę wyścigom konnym we Lwowie, festynom, których mamy tysiąc i jeden i wyborowi prezydenta miasta.

Wybór prezydenta miasta odbywał się w mieszkaniach prywatnych, w kawiarniach, a nawet na ulicy.

Co do festynów nastał we Lwowie istny szal festynowy. Jeden afisz siedzi na drugim. Całe miasto zalepione afiszami. Gdzie jakie stowarzyszenie istnieje, choćby liczyło sześciu członków, urządza festyn. Cel zawsze dobroczynny, tj. na dochód drukarni, rozlepiania afiszów, handlu tandecykich zabawek na fanty, skład ogni sztucznych. Dla zachęcenia dodaje się na afiszu: „bez loteryi fantowej.“

Wyścigi konne trwały trzy dni. To jest wszystko, co o nich powiedzieć można.

Nasi artyści wrócili z Kijowa zdrowi.

Klewe.